

Kopia Marilyn Monroe

OPERA | Poznań chce być trendy, więc nie zrobił tradycyjnego widowiska o Carmen.

JACEK MARCZYŃSKI

Opera Georges'a Bizeta zawsze gwarantowała teatrowi sukces. A nieśmiertelne powodzenie „Carmen” wynikało nie tylko z jej przebojowych melodii oraz zgrabnej intrygi będącej osnową akcji. Ważne były czerwone suknie z falbanami dla tytułowej bohaterki czy ozdobny strój podrywającego ją toreadora. To wszystko, z czego da się stworzyć atrakcyjny spektakl dla mas.

Takie myślenie to wszakże przeszłość, hiszpańska barwna cepeliada na świecie nie jest trendy. Ma być surowo i zgrzebnie. Dziś należy oglądać „Carmen” przeniesioną w czasy wojny domowej w Hiszpanii lub do podrzędnego teatryku na ulicy czerwonych latarni albo do dzielnicy nędzy współczesnej latynoskiej metropolii.

Poznański Teatr Wielki podążył za modą. Tu Carmen przez większą część spektaklu chodzi w spodniach, a gdy tańczy zalotnie dla Don Jose, nie ma kastanietów. Wystukuje rytm plastikowymi kubkami.

Reżyser przedstawienia, Włoch Denis Krief, uważa wręcz, że hiszpańszczyzna

„Carmen” to lipa, bo Bizet nigdy nie był w tym kraju. Jeśli jednak bohaterami opery nie są żołnierze, toreadorzy i pracownicy fabryki cygar z Sewilli, to o kim i o czym jest ta opera?

Z odpowiedzią na pytanie po obejrzeniu poznańskiej premiery jest kłopot, bo mamy tu dwie Carmen w jednej. Helena Zubanovich (debiutująca w tej roli) starannie i momentami efektywnie interpretuje to, co skomponował Bizet. Stara się stworzyć portret kobiety wyzwolonej, nawet jeśli wie, że niezależność może jej przynieść tragiczne skutki. Reżyser jednak jej nie pomógł, bo tak poprowadził Carmen, że stała się marną kopia hollywoodzkiego wampa z lat 50., Rity Hayworth czy Marilyn Monroe (tej z „Niagary”).

Uznawszy tradycyjną koncepcję za przestarzałą, Denis Krief zaproponował więc inną, również nieprzystającą do naszych czasów. I w ten sposób jedna z najbardziej pełnokrwistych operowych heroin stała się kimś nie z naszego świata.

Carmen jest tu równie konwencjonalna, choć z innej epoki, niż chciał Bizet. Pozostałe postaci są jeszcze mniej wyraziste: poprawny wokalnie

Sang Jun-Lee (Don Jose), Mariusz Godlewski (słynna aria toreadora Escamilla okazała się najsłabszym punktem jego występu) czy nawet niezawodna jak zawsze Roma Jakubowska-Handke w roli Micaeli.

Być może wynika to również z faktu, że w spektaklu zrealizowanym prostymi środkami, w umownych dekoracjach re-

żyser ciągle burzy teatralną iluzję. Można odnieść wrażenie, że wręcz chce, aby widz niezbyt się przejął losami Carmen. Dopiero w ciekawie, nieszablonowo rozegranym finale temperatura emocji się podnosi i zaczynamy rozumieć motywacje bohaterów. To jednak dzieje się już za późno, by się przejąć ich losami.



♦ Helena Zubanovich (Carmen), w tle Sang Jun-Lee (Don Jose)

A przecież tyle życia i energii jest w muzyce Bizeta, o czym przypominał, prowadząc orkiestrę, Bassem Akiki – kolejny dyrygencki talent, jaki objawił

się w Polsce. Może więc nie warto pozbawiać „Carmen” starych strojów? Trudno bowiem znaleźć coś innego, co by do niej dobrze przystawało. ■